

JONNY GARZA VILLA

PRZEŁOŻYŁA MAGDALENA KOWALCZUK

Ander
i Santi
tu byli



Young

JONNY GARZA VILLA

Ander
i Santi
tu byli
❤️

PRZEŁOŻYŁA
Magdalena Kowalczuk



TYTUŁ ORYGINAŁU:
Ander and Santi Were Here

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska
Wydawczyni: Agnieszka Nowak
Redakcja: Magdalena Wołoszyn-Cępa
Korekta: Katarzyna Kusojć
Projekt okładki i ilustracje: © Paulina Ciecholewska / Dixie Leota
Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski
Wyklejka: Nikole / © Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2023 by Jonathon A. Garza

Copyright © 2024 for the Polish edition by Young an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Magdalena Kowalczyk, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2024
ISBN 978-83-8371-049-5

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



1

– *Chingada madre**.

Szorstki szept opuszcza moje usta wraz z umęczonym oddechem. Padam na krzesło i przekrzywiam głowę na prawo i lewo, z głośnym trzaskiem pozbywając się sztywności z mięśni. Czy co tam się dzieje, kiedy człowiek strzela stawami. Nie wiem, kurde. Nie jestem osobą, która się na tym zna.

Jestem za to zmęczone. Przeżywszy zaskakująco ciężką południowo-czwartkową zmianę na patio naszej rodzinnej restauracji – Tacosów u Guadalupe – kiedy non stop musiałam się szczerzyć, przyjmować zamówienia, godzinami nosić żarcie i napoje, a po wszystkim porządnie przetrzeć stoły, jestem zaskoczone, że moje nogi w ogóle jeszcze chodzą. Nie ściemniam, mogłoby tu zaraz na miejscu, w pełni zadowolone.

Lepiej byłoby tylko, gdyby na zewnątrz nie było tak zimno. Od jakichś dwóch i pół miesiąca pragnę wiosny. Tych marcowych i kwietniowych dni, kiedy błagam Titę – czyli Lupę z Tacosów u GuadaLUPE – by wysłała mnie do pracy na zewnątrz. Kiedy

* Jebana mać (hiszp.). Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

wieje chłodny wietrzyk, świeci słońko, ale nie smażyysz się jak na patelni, a do tego jeszcze nie pada bez przerwy. U nas nie jest tak wilgotno jak na wybrzeżu albo tak sucho jak w zachodnim Teksasie. Tych dni, kiedy kusi, żeby olać pracę i od wschodu do zachodu słońca siedzieć bez koszulki nad rzeką.

Perfekcja.

Zdecydowanie lepiej niż w styczniu, kiedy czuję się, jakbym zostało uwięzione w chłodziarce w sklepie spożywczym. Nie jestem stworzone do życia w temperaturze poniżej dwudziestu jeden stopni Celsjusza. Bywają jednak takie dni, kiedy ciągnie mnie na zewnątrz. Potrzebuję tego przypadkowego powiewu wiatru przelatującego przez patio, smagającego mnie po twarzy, bym nie odpłynęło, niosącego ze sobą zapach drzew, mięsa i lawendowego detergentu, a także kąsającego, gdyby nie ciepło restauracyjnych ogrzewaczy, chłodu.

Poza tym to był całkiem niezły dzień. Nie mogę narzekać, dostałam pięćdziesiąt dolców napiwku od jakichś mamusiek. Takich, co to każą mapom Google'a zaprowadzić się do eleganckiej knajpki przy Riverwalk, a potem niechący zapędzą się do „złej części miasta”. Tych białych lasek, których margarity mogą mieć na krawędziach wyłącznie cukier i które myślą, że potrafią wczuć się w sytuację imigrantów, bo przeczytały *Amerykański brud*. Ale nieważne. Napiwek pójdzie na nowe spodenki do pływania.

Powinnoś mieć wpisać sobie do CV umiejętność ignorowania pasywnego rasizmu przez bite czterdzieści pięć minut i jednocześnie wciąż zachowywania się tak, jakby moim jedynym celem w życiu było zakumplowanie się z jakąś białą typiarką, żeby mogła mówić, że przyjaźni się z gejem. Przy najmniej szybko załapały, kiedy ukradkiem wskazałam na

przypinki przy bluzie: „ONO/JENO” i „PROSZĘ NIE MÓWIĆ DO MNIE PAN”.

Rozkładałam ramiona i odchyłam głowę. Wymyka mi się ziewnięcie, które przechodzi w umęczony jęk, a potem w melodię meksykańskiej piosenki z gatunku zwanego norteoño, lecącej z głośników na patio. Unoszę dłonie i poprawiam białą bandanę przepasaną przez czoło. Spoglądałam na palce, upewniam się, że burgund na paznokciach się nie zniszczył. Patrzę w dół na niebieski sweter w odcieniu pomiędzy baby blue a tym błękitem z flagi Argentyny i beżowe podwinięte chinosy ukazujące nagie kostki. Trzeba się upewnić, że we wcześniejszym zgiefku nie umknęła mi żadna plama z salsy czy tłuszczu.

Nope. Nic. Wszystko w porządku.

– Ander! – woła Tita przez uchylone drzwi restauracji prowadzące na patio. Albo z patio do restauracji? Albo i jedno, i drugie?

Nie jestem do końca pewne, jak długo mi się przyglądała. Mam nadzieję, że nie za długo, bo przez ostatnie dziesięć minut siedziałam beczynnie na tyłku. Dopóki mnie nie zawołała, nawet jej nie słyszałam ani nie widziałam. Zakradła się jak jakieś lichy, ale przyjaźniejsze i w koszulce Spursów, dzinsowej katanie z cekinowym wizerunkiem naszej Matki Bożej z Guadalupe na plecach i złotymi kołami z napisem „JEFA” w uszach. Kiedy do mnie podchodzi, buja głową i kolczyki po-brzękują, jakby tańczyły w rytm muzyki.

– *Está pinche frio, bebite*** – marudzi, stawiając przede mną szklankę z lekko różową cieczą i mnóstwem lodu.

* Szefowa.

** Ziąb aż szczypie, kochane.

– Grzejniki dają radę – mówię. – Nie chciałem siedzieć w środku. Co tu mamy?

Tita ignoruje moje pytanie i zamiast odpowiedzieć, pomaga kelnerowi, który przyniósł tacę z jedzeniem. Stawia podwójną tequilę przed pustym krzesłem po mojej lewej, które zamierza zająć, a frytki, guacamole, salsa i sos serowy lądują na środku stołu.

– To paloma, taki drink – wyjaśnia w końcu Tita i popija tequilę. Jeśli grzejniki jej nie wystarczą, alkohol zdecydowanie pomoże. – Ale gdyby twoja mama pytała, to *jugo de pome-lo y e'Sprite**. Należy ci się. Dobrze się dziś spisałoś, kochane.

– Dzięki – odpowiadam tylko.

Gdybym zamiast z nią siedziało teraz przy barze i obserwowało Ronniego ustawiającego butelki albo gdybym gadało sobie z Zekiem czy choćby z Moisesem (zanim wyjechał na Uniwersytet Północnego Teksasu), w tym momencie ze szczegółami opowiadałbym o gównianych klientach, z którymi musiałom się dziś użerać, i zaczęłaby się wymiana kosztownych opowieści. Ale Tita by mi przywaliła, gdybym obsmarowało przy niej kogokolwiek, kto zapłacił za jedzenie w naszej knajpie.

Chwytam szklankę i biorę łyk, czuję lekką rękę Ronniego i tequilę 1800 (nie żebym przez te moje osiemnaście i trzy czwarte roku życia wypilo dość tequili, żeby rozróżniać smaki poszczególnych marek). Opieram się na krześle z nogą przerzuconą przez jedno z jego ramion i drugą wciśniętą pod tyłek. Oto moment czystego szczęścia, po prostu *buena vida***.

* Sok grejpfrutowy ze sprite'em.

** Dobrze życie.

– *Cómelo** – zachęca Tita, przesuwając jedzenie w moją stronę. Zgodnie z Zasadą Numer Jeden z Podręcznika Babci ma wieczną potrzebę karmienia wnuków. Poza tym pewnie doskonale wie, że sama wsunęła już połowę frytek i więcej *queso***, niż jej nietolerujący laktozy organizm powinien przyjąć.

Biorę chipsa z tortilli i nabieram nim guacamole i odrobinę salsy. Taka mieszanka zapewnia ten pyszny kontrast między pikantnymi papryczkami na podniebieniu a chłodnym awokado z nutką limonki. Smaki kolendry, cebuli, czosnku, tomatillo i jalapeño wirują mi na języku wraz ze słonością chipsa.

– *El mural de pan dulce es muy popular, bebite**** – stwierdza Tita.

Palec wskazujący i świeżo zrobione paznokcie kierują moją uwagę za ulicę, na obraz, który namalowałam na Piekarni Rosalindy. Ogromne różowe, żółte, a nawet błękitne i bladzielone *conchas***** pokrywają w całości jedną ze ścian na zewnątrz. Dodałam też trochę złotych iskier, perfekcyjnie równoważąc agresywną wręcz urokliwość obrazka, ale nie zaburzając kompozycji.

– Każdego dnia, nawet kiedy na zewnątrz jest jakieś czterdzieści stopni, zawsze jakieś *muchachas****** robią sobie zdjęcia na *la Is-a-gram*.

– Hmm. – Wydobywa się ze mnie coś przypominającego śmiech. Dziś zwyczajowych *muchachas* w ciuchach pasujących do estetyki muralu, robiących swoje charakterystyczne pozy z uniesioną nogą i gestem pokoju, brak. Zamiast nich widzę dwójkę mniej próżnych osób; jedna z nich, mniej więcej

* Wcinaj.

** Sera.

*** Mural z ciastkami bardzo się podoba, kochane.

**** Okrągłe słodkie wypieki z ciasta drożdżowego, często ze wzorem przypominającym muszelkę, stąd nazwa.

***** Dziewczyny.

w moim wieku, opiera się o ścianę, a druga, jakieś krewne, może starsze kuzynostwo, stoi zwrócone w stronę ulicy i przegląda telefon. Pierwsza osoba wyciąga komórkę i – o cholera, nie – zaczyna strzelać sobie selfiaki.

Zrywam się na równe nogi, a głośny, głośny zgrzyt krzesła sprawia, że Tita się wzdryga.

– Dlaczego ustawia telefon w taki sposób?! – Odwracam się do Tity z wielkimi z oburzenia oczami i ustami otwartymi w poszukiwaniu słów, by odpowiednio wyrazić, dlaczego tak mnie to wzburza. Wyciągam rękę w stronę muralu. – Nie tak powinno się to robić.

– *Cálmate, bebite** – odpowiada Tita, machając dłonią w górę i w dół, pokazując mi, bym usiadło z powrotem. – Nie masz kontroli nad tym, co ludzie robią z twoją sztuką.

– Mogę spróbować.

Przewraca na mnie oczami, prycha i bierze kilka łyčzków tequili.

– Ile jeszcze masz do zrobienia, zanim wyjedziesz do Chicago?

Nie znoszę, jak zbywa moje najzupełniej uzasadnione problemy dotyczące mojej pracy. Ale na jej korzyść działa to, że uwielbiam sposób, w jaki wymawia „Chicago”. Z twardym „cz” jak przy czyraku. Niech jej będzie, odpuszczę, ale następnym razem pozwolę sobie być nieznośne.

– Co najmniej osiem, licząc Beautify – mówię, spoglądając dalej w stronę ludzi przy piekarni; teraz siedzą na chodniku, oparci plecami o mural. Ta osoba, która nie wie, jak fotografować sztukę, siedzi obok czarnej smugi robiącej za mój

* Uspokój się, kochane.

podpis. – Może więcej, w zależności od tego, ile będę mieć czasu i czy uda mi się złapać jakieś zlecenia.

Minęło trochę ponad pół roku, odkąd posadziłam rodziców i babcię w sumie dokładnie przy tym stoliku i powiedziałam im, że napisałam do School of the Art Institute w Chicago (co prawdopodobnie jest najdłuższą nazwą college'u w kraju), aby odroczyć moje przyjęcie o rok. Następnie przesunęłam w ich stronę iPada, aby mogli przeczytać ofertę z lokalnej organizacji non profit Beautify Not Gentrify, którą już zdążyłam zaakceptować. Dałoby mi to szansę wzięcia udziału w ich pierwszym Programie Mieszkalnym dla Młodych.

Jednak najbardziej pamiętam to, jak podekscytowanie w moim głosie słabło z każdym wypowiedzianym słowem, gdy widziałam, jak na ich twarzach początkowe zainteresowanie przechodzi w rozczarowanie i złość.

„Zostajesz tu jeszcze rok?”

„Rzucasz college?”

„Dlaczego wcześniej z nami o tym nie porozmawiałaś?”

To nie był nasz najlepszy moment. „Tak. Nie, nie rzucam. Ponieważ nie chciałam, żebyście przekonywali mnie, że to zły pomysł”.

Wspomnienia frustracji Pa i Mami próbującej zdusić w sobie krzyk są tak żywe, że mogłoby namalować ze wszystkimi szczegółami bruzdy na jego czole i jej rozszerzone z wściekłości oczy oraz wciągnięte do wewnątrz policzki, tak usilnie próbowała powstrzymać się przed powiedzeniem czegoś, czego mogłaby żałować. Żadne z nich nie rozumiało, jak wspaniała była – jest – to okazja. Rodzice są przekonani, że skoro nie poszłam od razu na SAIC, resztę życia spędzę na kelnerowaniu. Co jest strasznie głupim pomysłem, który na dodatek sami

sobie wymyślili. Zarzucali mi, że marnuję swój talent, i przez następne miesiące pytali tylko w kółko, co takiego robię tutaj, czego nie mogłoby mi się robić w Chicago.

Wkurza mnie, że dla nich to nie jest oczywiste. Że choć pokazuję im te zajebiste rzeczy, które mogę robić dzięki programowi, czasem wciąż muszę się z nimi kłócić. Powtarzać, że rok przerwy to żaden wymysł. Masa dzieciaków tak robi. I bardzo niewiele z nich w tym czasie może zajmować się czymś takim.

Jasne, jakiejś części mnie podoba się myśl, że być może z tego programu wyjdzie coś lepszego niż college. Trafi się jakaś gruba ryba z jeszcze grubszym portfelem chętna dać młodemu ulicznemu artyście szansę w wielkim świecie. Albo burmistrzowie miast nawet większych niż San Antonio będą dzwonić, gotowi zatrudnić mnie do malowania budynków u nich.

Ale wiem, że to mało prawdopodobne. I kiedy przyjdzie pora, rodzina będzie oczekiwać, że zostawię Santos Vista. Muszę.

Do tego czasu mogę oglądać sobie mural inspirowany piosenką Seleny *Como La Flor* pokrywający boczną ścianę sklepu H-E-B kilka przecznic od nas, gdzie wszyscy w okolicy robią codzienne zakupy, i napis w stylu graffiti „ŻADEN CZŁOWIEK NIE JEST NIELEGALNY”, który wykonałam dla RAÍCES, a także Silvię Riverę na Klubie Sześć-Dziewięć przy Main Street i Ostatnią Wieczerną na Centrum Katechetycznym imienia Świętych Piotra i Andrzeja, który zajął mi dwa tygodnie – ze świadomością, że przez ostatnie pół roku wcale nie marnowałam swojego talentu. A także że jest to coś, czego nie mogłoby mi się robić w Chicago, ale co zadziała na moją korzyść, kiedy już tam dotrę. Wszystkie te inspirujące zlecenia pomogą mi się rozwinąć.

Dostałam szansę, mogłam robić to, co kocham, bywało, że w ramach instrukcji usłyszałam jedynie: „To twoja sprawa, rób to, w czym jesteś najlepsze”. Ta praktyka i wyjście ze sztuką do świata – wyjście do mojej społeczności – były mi bardzo potrzebne. Potrzebowałam dowiedzieć się, kim jestem jako artystyczne. Wciąż jeszcze nie wiem. Ale jestem pewne, że przekonam się, co mi w sercu i w duszy gra i jak wpływa to na moją sztukę, jeszcze zanim wsiądę na pokład samolotu lecącego do amerykańskiej stolicy pizzy z wysokimi brzegami.

2

– Chachi! – krzyczy Mami w stronę podwórka na tyłach, do mojej siostry Carli i jej przyjaciół. – Co ty robisz? Co... skąd wzięłaś piniatę? W sumie *no quiero saber**. *Ven paca*** . Pora jeść, *pendejitos****.

Czasem lepiej nie pytać. Na przykład wtedy, kiedy wracam do domu, a mój najlepszy przyjaciel (i współpracownik od trzech lat) Zeke drepta za mną, a naszym oczom ukazują się Chachi i jej przyjaciele Raúl, Benny, Sammy i Frankie rzucający w siebie nawzajem kończynami rozczłonkowanej piniaty. Cała piątka krzyczy wniebogłosy, a kawałki wielokolorowego osiołka śmigają w powietrzu. Choć szczerze mówiąc, to po prostu zwykły piątkowy wieczór u Martine-zów, czyli moi rodzice, Tita (jeśli grają Spursi, zawsze ogląda mecz z tatą) oraz od sześciu do ośmiu nastolatków – tylko dwójka, ja i Chachi, powita przez Mami – każdy gada jeden

* Nie chcę wiedzieć.

** Chodźcie.

*** Łobuziaki.

przez drugiego, co w sumie daje solidną meksykańską dziewczątkę na skali głośności.

Kumple Chachi idą za nią do domu, każdy z nogą albo głową osiołka w rękach. Siostra zawsze była typem dziewczyny, która otacza się chłopakami. Robi chłopackie rzeczy (choć żadną miarą nie uważam, że powinniśmy jako ludzkość dzielić rzeczy ze względu na płeć). Nosi włosy związane w niedbały koczek, nigdy ani grama make-upu, a do tego męską koszulę z krótkim rękawem kupioną w Forever 21, jeszcze zanim się zamknęli. Ciężko nie myśleć o niej inaczej niż o chłopczycy. Zdecydowanie ma w sobie więcej z chłopaka niż ja.

W sumie ta koszula jest cholernie urocza. Muszę ją jej później zakosić. Dzięki niech będą bogini Selenie, że mieścimy się w ten sam rozmiar.

Wszyscy ustawiamy się w rzędzie w kuchni, Zeke obok mnie z papierowym talerzykiem w jednej i telefonem w drugiej dłoni. Czekamy na kurczaka, domowe tortille, ryż, fasolę pinto, grillowane jalapeños i szpinak z kapustą, a on pisze albo na grupowej rozmowie z ludźmi z zajęć o ewolucji człowieka, albo do swojej osoby tygodnia. Czyli jest w swoim zwyczajowym trybie „obecny mentalnie tylko w połowie”.

Mami nazywa jego, mnie i naszego trzeciego kumpla *Mo los trillizos*, czyli trojaczkami, co zawsze wydawało mi się lekką przesadą. Ani trochę nie przypominamy trojaczków. Jestem od nich niższe, nawet jeśli tylko ociupinkę. Zeke i ja mamy ciemniejszą karnację niż Mo. No i Zeke zawsze miał te swoje dzikie loczki, tak inne od mojej fryzury z przedziałkiem na środku głowy. Mami mówi, że moje włosy przywodzą jej na myśl Shawna Huntera z serialu *Chłopiec poznaje świat*, choć milion razy mówiłam jej, że nie ogarniam odniesień pokolenia boomerów.

Jestem bardziej typowym pick-me twinkiem z włosami à la kapitan Levi z *Attack on Titan* albo ten przystojniak z *Lilo i Stich*, ale niebinarne. Za to odkąd Zeke zaakceptował te pięć kilogramów, które mu przybyło na pierwszym roku studiów, i pokochał swój mały brzuszko, coś... przestał być twinkiem.

Do tego chodziliśmy ze sobą. Zeke i ja. A więc poza tym, że jest moim najlepszym przyjacielem i współpracownikiem, jest też moim byłym. Mo wolał, by nasza relacja pozostała czysto platoniczna (nie licząc pierwszego tygodnia drugiej klasy). Dlatego mówienie o nas per „trojaczki” nieco mnie mierzi. Nie jestem białym z Alabamy czy członkiem angielskiej rodziny królewskiej.

Mimo to stoimy tutaj razem, oboje w okularach, pasujących do siebie różowych oversize’owych koszulkach z długim rękawem, granatowych bawełnianych szortach i wysokich skarpetach. Zatem niech będzie. Trochę trojaczki.

Po prostu spędzamy ze sobą za dużo czasu. A to różnica.

Dostajemy jedzenie i zajmuję moje miejsce przy stole, zaraz obok Zeke’a. Skupiam się na powrót na moim iPadzie i na wpół skończonym projekcie, dla którego inspiracją była La Chalupa; pomysł na niego wpadł mi do głowy kilka dni temu. To taka charakterystyczna karta loterii. W żadnym wypadku nie mam na myśli tego, co w Taco Bell można spotkać pod tą nazwą, a co jest obrazą dla meksykańskiego napakowanego po brzegi taco. Wkrótce projekt przerodzi się w najnowszy mural, muszę tylko dostać zgodę od Beautify na zajęcie ściany w Juan Diego Creek Park. Zeke jest pochłonięty zadaniem domowym, Chachi i jej przyjaciele rozsiedli się w kółeczku na podłodze w salonie, choć mamy dość kanap i krzeseł dla całej piątki, a Mami i Pa siedzą z nami.

– Kolejny projekt się szykuje, *mi'je*? – pyta Mami z naprzeciwka. Przechyliła lekko głowę, próbując zobaczyć, co robię, *metiche***.

– Tak, na poniedziałek.

– *Que bueno****. Pamiętaj, żeby zrobić zdjęcia do portfolio dla uniwersytetu. Informujesz ich na bieżąco o tym, co robisz podczas swojego wolnego roku?

– To nie jest po prostu wolny rok... – Biorę głęboki oddech. Nie pozwól wyprowadzić się z równowagi, Ander. – *Yo sé*****, Mami. Jeśli o cokolwiek zapytają, wszystko jest gotowe do wysyłki.

– Jak tam semestr, Ezekielu, wszystko w porządku? Nadal podoba ci się szkoła? – pyta Pa, ucinając naszą próbę rozmowy czy co to tam było. On i Mami robią, co mogą, by być jak najbardziej pasywno-agresywni i przy każdej okazji wspomnieć, że moi przyjaciele uczą się na poważnych uczelniach, a ja mamulę sobie na moim iTouchu.

Po pierwsze, dobrze wiem, że wiedzą, jak nazywa się ten sprzęt. Po prostu chcą być upierdliwi. Wiedzą, że korzystam z iPada. Używają swojej głupiej wymyślonej nazwy, żeby podkreślić, jak mają mnie dość. A po drugie, następnym razem mogą spokojnie rzucić mi po prostu w twarz, że jestem rozczarowaniem. Żaden problem.

Nie żeby ich dziecko wykorzystywało swój czas poza uniwersytetem, tworząc sztukę, która pojawia się w wiadomościach i na blogach podróżniczych. W całej cholernej okolicy. I na Instagramie.

* Moje dziecko.

** Wścibska.

*** Wspaniale.

**** Wiem.

Jasne, kurde. Nic nie robię ze swoim życiem. Siedzę na chacie i bawię się kredkami.

I pewnie, zdaję sobie sprawę z tego, że w ten dziwny, niezdrowy sposób pokazują, że mnie kochają. Że – bez względu na to, czy mówią o tym głośno, czy nie – są ze mnie i mojego talentu dumni. Zawsze to powtarzali. Wciąż powtarzają.

Zwyczajnie nie podoba im się, że tego wieczoru siedzę tu z nimi przy stole zamiast w Chicago.

– Jest okej. Kończę z podstawowymi przedmiotami. Szkoła jak to szkoła.

Mniej więcej za dziesiątym czy jedenastym razem, kiedy go o to pytali, ustaliliśmy, że przestanie zachwalać przed nimi swój college. Że będzie mówił najnudniej, jak się da. A wiem przecież, że ten genialny cholernik rozwija się jak nigdy przedtem i żyje na UIW* pełnią życia. Ani odrobiny żalu, że trafił tam zaraz po ukończeniu liceum.

Nie słucham ich. Staram się znaleźć odpowiedni kolor dla rąbka spódnicy dziewczyny w łódce. Charakterystyczny granat, który przechodzi w indygo, a potem fiolet i w końcu biel. Opuuszczam tylko na chwilę, aby zamienić ołówek na widelec i podłubać kolację.

Zeke uderza mnie stopą w goleń. Nie na tyle mocno, żeby zabołało, ale wystarczająco, bym uniosło głowę i spojrzało na niego. Posyła mi nazbyt entuzjastyczny uśmiech, ale usta ma wciąż zamknięte, nie pokazuje zębów.

„Wszystko okej?”, pyta bezgłośnie. Mami i Pa rozmawiają między sobą, skończywszy z nękaniami mnie i, pośrednio, moich przyjaciół. Mama słucha, jak tata opowiada o jakimś nalocie na sklep mięsny przy Abigail i Ruidoso. Przeklina

* University of the Incarnate Word (Uniwersytet Słowa Wcielonego).

stanowczym, ale cichym głosem. A później z wyraźnym smutkiem wyraża troskę o ludzi, którzy wrócą dziś do swoich rodzin, do domów, i dowiedzą się, że ich mężowie i żony, matki i ojcowie zniknęli.

Kiwam głową i posyłam przyjacielowi delikatny uśmiech. „W porządku”.

– Słyszałeś, co spotkało rodzinę Josuego? – pyta tatę mama.

– No. *¿Qué pasó?**

– Odmówili im azylu. *¿Tú crees?*** Utknęli w Matamoros, jego żona i czwórka dzieci.

Pa rzuca wiązanekę hiszpańskich przekleństw, równając z ziemią cały system imigracyjny tego kraju. Na tyle cicho, że wierzy, że go nie słyszymy, ale dość głośno, byśmy usłyszeli każde słowo.

– Co niby mają teraz zrobić?

– Nie wiem, *mi amor****. Josue zastanawia się, czy nie wyjechać. Nie może znieść myśli, że żyją w namiotach, na ulicy. Wiesz, jak źle mają Honduranie w Meksyku.

– Nie dziwię mu się. Gdyby chodziło o ciebie i dzieciaki, na jego miejscu zrobiłbym to samo.

– No i jeszcze Estevan. Zgarnęli go przy garażu Juanita. Agenci zatrzymali go, gdy wracał wieczorem do domu parę dni temu.

– Przecież on ma tu dzieci – odpowiada ojciec tonem, który często pojawia się w tego typu rozmowach. Wiem, że cierpi. – Spróbuje wrócić?

– Woli poczekać dziesięć lat, niż dać się złapać raz jeszcze, żeby mogli wyrzucić go na stałe.

* Nie. Co się stało?

** Wyobrażasz sobie?

*** Kochanie.

– *Chingada madre*. Dziewczynki nie zobaczą ojca do końca liceum.

Te rozmowy to norma, odkąd pamiętam. Miałom pięć lat, kiedy Pa pouczył mnie, co mam robić i jak się zachować, gdyby policja lub funkcjonariusze służb migracyjnych pojawili się w restauracji. Widziałom już kilku kucharzy uciekających przez kuchnię, bo akurat udało nam się dostać cynk odpowiednio wcześniej. Słuchałam o deportacjach rodziców kolegów i koleżanek z klasy i uczniów z przerażeniem zastanawiających się, co zrobią, jeśli prawa pozwalające dzieciom niezarejestrowanych imigrantów mieszkać w Stanach kiedykolwiek zostaną zniesione i będą musieli wracać do kraju, w którym, z tego, co pamiętają, nigdy nawet nie byli.

Rodzice dołożyli starań, bym nie wyrosło na jedną z tych osób, po części Meksykan, po części Amerykanów, które próbują zapomnieć o tej pierwszej narodowości. Które psioczą na imigrantów i zachowują się, jakby nie rozumiały, co się wyrabia. Tacy ludzie myślą, że są lepsi, ponieważ nie łamią sobie języka na angielskim, jak nasi dziadkowie. Że ksenofobia ich – nas – nie dotyczy. Poza tym nie raz chodziłam z Mo na spotkania młodzieżowe LULAC, na których zazwyczaj przynajmniej kilka minut poświęca się polityce imigracyjnej i działaniom rządu, a także przypomnieniu, jak można skontaktować się ze swoim przedstawicielem w kongresie albo senatorem.

Przecież nie mam znieczulicy. To naprawdę wkurzające. Do tego wydaje się, że w Santos Vista takie przypadkowe zatrzymania to codzienność. Jak i naloty, nawet na szkołę, do której chodziliśmy z Chachi. Strach obywateli, którzy się tu urodzili, przed chodzeniem po nocach, nie z powodu gangów czy złodziei, ale dlatego, że mogliby przypadkiem trafić do celi, bo

ci pieprzeni terroryści wolą od razu komuś dowalić, a dopiero później wysłać ewentualne przeprosiny.

Ale poza tymi kilkoma razami w knajpie nigdy nie czułam, by dotyczyło mnie to bezpośrednio. Opowieści o moich pradziadkach przybywających tu z Meksyku nie są dla mnie specjalnie osobiste. Nigdy nie byłam zbyt blisko z niezarejestrowanymi kolegami i koleżankami z klasy. Wiem, że zawsze muszę mieć przy sobie prawo jazdy, a w schowku samochodowym kopię aktu urodzenia, i że to powinno wystarczyć.

Nawet słuchając tego wszystkiego, prawdopodobnie nie cierpię tak jak tata, którego niejeden przyjaciel czy pracownik wyładował w areszcie. Nigdy mnie to nie dotknęło. Nie zламаło mnie to w przeciwieństwie do wielu osób z tej okolicy.

Rozumiem. Bywałam na protestach. Ale skłamałabym, gdybym powiedziało, że boli mnie to tak samo jak moją rodzinę albo Mo, albo ludzi z RAÍCES. Może dlatego, że nigdy nie przesłom niczego, żadnej traumy, która mogłaby wzbu-
dzić we mnie tego rodzaju empatię.

I może... jestem za to niesamowicie wdzięczne.



Sięgnij
po więcej!

-  wydawnictwokobiece.pl
-  Wydawnictwo Young
-  [wydawnictwoyoung](https://www.instagram.com/wydawnictwoyoung)
-  [wydawnictwoyoung](https://www.tiktok.com/@wydawnictwoyoung)

 Young